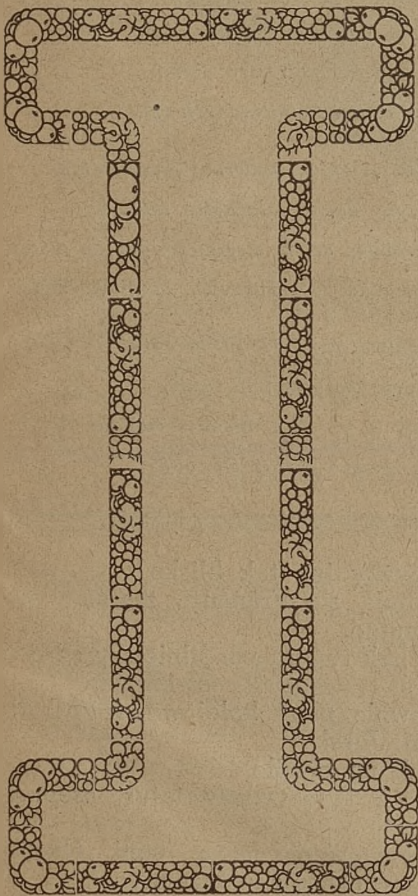
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ROK VIII. 27 LISTOPADA 1927 R. Nr. 37.

HARCERZ

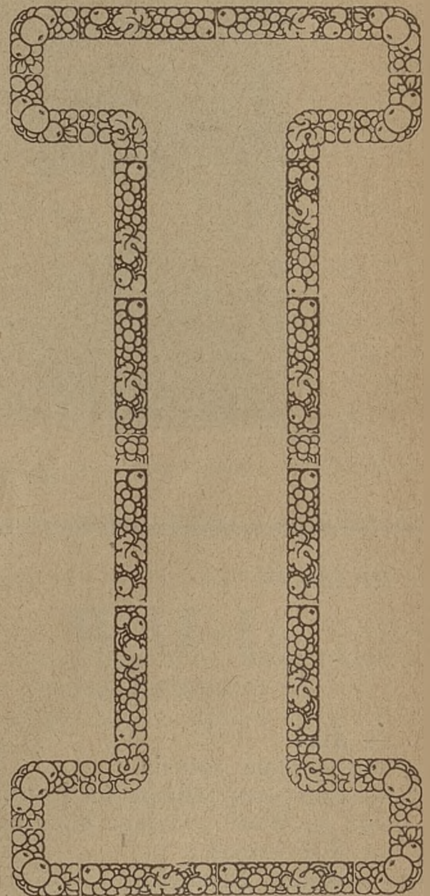
CZUWAJ

TYGODNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ





POBUDKA.



T. UHMA.

KONGRES PRZECIWALKOHOLOWY

Czy było to w intencjach organizatorów kongresu przeciwalkoholowego, czy też przypadkowo tylko tak się złożyło — dość na tem, że w stolicy państwa, Warszawie, w bieżącym miesiącu dwa stanęły obok siebie najważniejsze wypadki dnia: rocznica zjednoczenia niepodległej na nowo Polski i Kongres przeciwalkoholowy — rocznica zrzucenia jarzma niewoli państwowej i praca nad zrzuceniem innego jarzma, nad wypędzeniem innego wroga, alkoholizmu.

Czem jest alkoholizm i jakie sieje on zniszczenie we wszystkich społeczeństwach, a także w naszym narodzie, o tem dobrze wiedzą rzesze harcerskie, o tem możnaby wiele pisać i „Harcerz" niezawodnie napisze jeszcze nieraz.

Teraz podkreślić chcemy tylko to, że w tej zbiorowej pracy nad usunięciem zła, które oddawna już, od bardzo dawna zakorzeniło się niestety wśród najszerszych warstw polskiego narodu, nie brakło i tym razem harcerstwa. W głębokiem zrozumieniu ważności tej sprawy, w serdecznem pragnieniu przyczynienia się naszemi skromnemi siłami do zrealizowania jednego z haseł naszego programu, który naszem prawem nazywamy, wzięły władze Z. H. P. czynny i gorący udział w pracach Kongresu.

Przedewszystkiem w wystawie, która obok poważnych obrad z szeregiem zasadniczych referatów ma stanowić poważny czynnik propagandowy i informacyjny, wystąpiło harcerstwo z własnym kioskiem, przyczyniając się w ten sposób do wyraźnego zobrazowania tej nieustannej, nieustępliwej walki, jaką różne organizacje antyalkoholowe i harcerstwo jako takie prowadzi z tą rozwielmożnioną w naszem społeczeństwie chorobą. Wystawa przeciwalkoholowa w szeregu wykresów, rycin, wydawnictw bardzo dokładnie i przejrzyście poucza o zgubnych skutkach alkoholizmu i o walce z nim, o jej metodach i wynikach. Skrzętnie nagromadzone i umiejętnie rozmieszczone szczegóły wystawy mówiły niejednemu ze zwiedzających, jak poważnym i niebezpiecznym wrogiem naszej siły narodowej jest alkoholizm i w jaki sposób prowadzi się z nim walkę, oby coraz bardziej skuteczną.

W powitaniu zjazdu nie zabrakło też naszego głosu. Dh St. Sedlaczek, Naczelnik G. K. M., powitał Kongres w imieniu harcerstwa, a jego słowa bardzo wyraźnie podkreśliły, że w tej walce o dobro fizyczne i duchowe narodu jesteśmy wraz z innymi i że zajmujemy w niej niepoślednie stanowisko. Miał prawo powiedzieć to Naczelnik G. K. M., gdyż 40.000 młodzieży dzięki prawu harcerskiemu stanowi niewątpliwie poważną armję, a tem pewniejszą, iż zaprawianą w idei antyalkoholicznej od pierwszych chwil swego pobytu w Z.H.P.

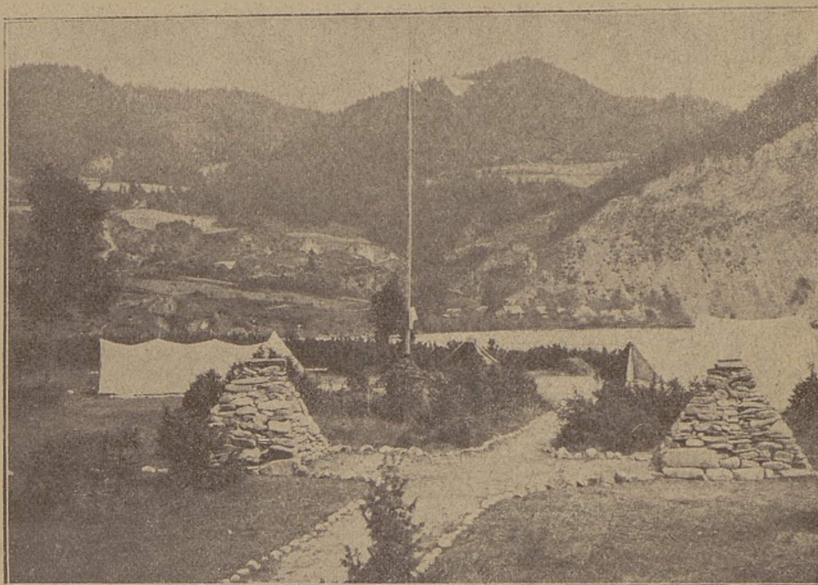
Nadto sam skład Komitetu organizacyjnego Kongresu, gdzie spotykamy nazwiska: prezesa Z. H. P. ks. J. Mauersbergera, dhny Naczelniczki G.K.Ż. Marji Uklejskiej, dha Naczelnika G. K. M. St. Sedlaczka, sekretarza generalnego dha O. Grzymałowskiego, dowodzi, że harcerstwo rozumie swój obowiązek w dziedzinie walki z alkoholizmem i ten oobwiązek pragnie spełnić.

Wśród referatów Kongresu znalazł się również o „Organizacjach młodzieży polskiej w walce z alkoholizmem", wygłoszony z wielką energją przez b. prezesa Z. H. P. dha Tadeusza Strumiłłę.

Nie możemy dziś jeszcze podać wyników prac tego Kongresu, w każdym razie stwierdzić musimy, że tak poważny Kongres, przygotowany z takim nakładem pracy, wyzyskujący wszelkie środki propagandy, aż do filmu i wystawy włącznie, powinien przynieść ważne i wielkie korzyści.

Co zaś nas, harcerstwo, najbardziej cieszy i podnosi na duchu, to owa świadomość, że w walce z taką chorobą społeczną, jak — mówmy poprostu — pijaństwo, Z. H. P. nie jest samo, że nasze wysiłki są skromną tylko sumą w tej olbrzymiej pracy, jaką najbardziej ideowe jednostki naszego narodu prowadzą dla zdrowia fizycznego i duchowego narodu.

Z tem większą więc energją i tem mocniejszą wiarą w owocność naszych wysiłków nieśmy w szerokie warstwy społeczeństwa ideę zdecydowanej. nieustępliwej, zażartej walki z alkoholizmem, nieśmy to przekonanie, że siła duchowa Polski, to jej największa potęga, a ta siła ducha niknie, marnieje, psuje się przez poddawanie się nałogom.



Obóz 15 W. D. H. w Sromowcach.

STANISŁAW RYCHTER.

ORLIM SZLAKIEM.

Orlim szlakiem płyń ku wyżynom
I z wyżyn w mroczną poglądaj dal,
Na rzesze ludzkie patrz, co płyną
Po ziemi z szumem spienionych fal.

Orlim szlakiem zmierzaj przestworza
I czyny ducha szlachetne nieć,
Wzrokiem swym sięgnij od gór do morza
I gwiazdą w mrokach zwątpienia świeć.

Orlim szlakiem wzbij się na szczyty
I na urwisku skalnem tam siądź,
Ciągle bądź w młodość ducha spowity,
I mężnym zawsze harcerzem bądź!

J. MICHALSKI.

JUR

NOWELA

— Jur!

— Słucham tatusia.

— Jutro wyjeżdżam na front.

Jur podniósł pytające oczy na ojca.

— Już jutro?

— Wiesz, że muszę.

— A kiedy tatuś wróci?

Pan Niegolewski uśmiechnął się. Jur pochwycił oczami ten uśmiech i zrozumiał odpowiedź.

— Jurku, mam do ciebie prośbę.

— Rozkaz — przerwał syn.

— Nie tylko prośbę. Będziesz się opiekował matką. Ale tak całem sercem i całą duszą.

— Dobrze, tatusiu.

— Wiesz, że jest słaba.

Teraz wojna i może się niejedno zdarzyć. Będziesz jej bronił?

— Będę, tatusiu.

— Słowo?

— Harcerskie, tatusiu.

— Dziękuję ci, synku.

Podali sobie dłonie i uścisnęli je mocno, jak na mężczyzn przystało.

Harcerz miał lat czternaście.

*

Jur uniósł się na łóżku i podparł głowę łokciami. Zdawało mu się, że wśród poświstów wichru usłyszał jakiś obcy mu dotychczas dźwięk — huk daleki.

Wpatrzony w zamazaną szybę okna słuchał z uwagą.

— Może to przywidzenie tylko, myślał.

Jednak czuwał dalej.

Za oknami wył wiatr. Dzika, niepohamowana potęga ruchomego powietrza, coś jakby przeciąg szalony w niewidzialnych korytarzach świata szarpał domem. Wiatr czasami nabierał pedu, jakby był gońcem wieści okrutnej, szalonej, jak on sam, i tak druzgocącej, jak on w swojej najwyższej potędze.

Jur zamknął oczy. Zdawało mu się, że dom leci, zdmuchnięty z ziemi w bezdenną przestrzeń. zaświatów.

Już, już ma się roztrzaskać o ogromną, złocistą gwiazdę...

Jur, kurczowo trzyma się łóżka i stara się nie myśleć.

Huk nagły wstrząsnął całym domem.

— Czyżbyśmy już uderzyli o gwiazdę, myśli Jur.

Otwiera powoli zmęczone oczy.

— Jakiż ja jestem głuptas. przecież to był sen tylko.

Huk daleki rósł i potężniał, jakby starał się przekrzyczeć narzekania wiatru.

Wtem z drugiego pokoju ozwał się kobiecy głos.

— Jurku, co to się dzieje? Chłopak pobiegł w koszuli do matki.

— Wojna matuś, strzelają.

— Czyżby już tak blisko?

— Cofają się Francuzi, matuś. odrzekł smutno.

Znów huk tym razem silniejszy od poprzednich wstrząsnął powietrzem.

— Pewnie most kolejowy wysadzili, objaśniał Jurek.

Umilkli na chwilę.

— Może tam walczy tatuś, szepnął cicho.

Na wspomnienie męża pani Niegolewska wybuchnęła płaczem.

Jurek objął ją rękami za szyję.

— Nie płacz mamusiu, wszystko będzie dobrze. Wróci tatuś!

— Jurku, a jak nie wróci?

— Pomódlmy się, mamusiu, za tatusia, żeby wrócił.

Klęknął u kolan matki i zaczął silnym, dziecinnym jeszcze, a jednak poważnym, spokojnym głosem.

— Ojcze nasz. któryś jest w niebie święć się Imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja...

Pani Niegolewska osunęła się na podłogę i wśród płaczu mówiła za synem.

— ...bądź wola Twoja...

A na polach grały złowrogą pobudkę śmierci i zniszczenia armaty.

* *

Piwnica była niewielka, brudna, wilgotna.

Jur prawie, że zniósł do niej na rękach matkę. Miała gorączkę i majaczyła.

Całą noc trwała na ziemi walka.

WYPRAWA HARCERZY MORSKICH DO DANJI

NA II MIĘDZYNARODOWY ZLOT SKAUTÓW MORSKICH

Gwizdek — rzucono cumy łączące Rybitwę z brzegiem, podniesiony grotżagel napełnił się wiatrem, szarpnął i ruszy-



liśmy naprzód, zostawiając za sobą okrzyki znajomych i towarzyszy, którzy przybyli nas pożegnać.

Za nami suną żaglówki I i II drużyny morskiej, które odprowadzają nas aż poza granice Poznania.

Pogoda zmienna, na niebie poczynają się gromadzić czarne chmurki, więc trzeba będzie pomyśleć o parasolach. Rybitwa holowała małe rybitwiątko t. j. łódź dodatkową, na którą tymczasowo załadowano baryłkę ze słodką wodą, więc przy znacznej szybkości, skutki nie dały długo na siebie czekać; to też wkrótce ujrzeliśmy przykry widok: łódź zanurzyła się pod wodę, a uwolniwszy się od balastu wywróciła się grzbietem na wierzch. W parę minut wyciągnięto łódź, dla wylania wody i zatrzymania się przy brzegu. Było to dla nas pewnem ostrzeżeniem, że można się będzie spodziewać większych kłopotów z tą łupinką, to też postanowiliśmy zostawić ją, a zabrać jedynie wiosła. Pożegnaliśmy się z towarzyszącemi nam łodziami, których załogi gromkim hip! hip! hurra! życzyły nam dobrego wiatru.

Tymczasem niebo pokryło się na dobre chmurami i lunęło na nas rzęsistym deszczem; w taki to sposób widocznie niebo opłakiwało 12 niewiniątek przeznaczonych na oczywistą ofiarę molochowi — morzu. Byliśmy wszyscy w mundurach galowych, więc też w kajucie rozpoczęto się przebierać w zwykłe robocze mundury, nie łatwe to jednak było zadanie, bo trzeba przyznać, że wolnej przestrzeni było dosyć mało, tem bardziej, że przyniesione ze sobą bagaże złożono w ostatniej chwili bez żadnego ładu; trzeba było koniecznie zatrzymać się i urządzić generalne przepakowanie, uczyniliśmy to niezwłocznie pod Biedruskiem. Wyładowaliśmy wówczas cały bagaż na ląd i ułożyliśmy na nowo według zasady ekonomicznej maksimum wygody przy minimum wysiłku.

Za chwilę mieliśmy pierwszy most poza sobą, mijaliśmy go z podniesionym masztem, bowiem zdawało się nam, że jest dosyć wysokim, tymczasem omyliśmy się zaledwie o parę cm., w rezultacie zawadziliśmy końcem masztu, lecz nachyliwszy Rybitwę z biedą udało się nam prześlizgnąć, straciwszy tylko żarówkę sygnalizacyjną. Postanowiliśmy być odtąd ostrożniejsi, to też wszystkie następne mosty mijaliśmy z opuszczonym masztem, nie ufając zbytnio własnemu oku.

Chłopcy byli w doskonałych humorach, a w młodych oczach paliły się żądze niesamowitych przygód, owianych urokiem niezwykłej sytuacji. Stopniowo zaczęto przywyczajać się do terenu i pierwotne następowanie sobie na nagniotki ustępowało zręcznym ruchom mijania się, przeskakiwania etc....

Wkrótce mieliśmy okazję do wykazania indywidualnych zdolności, bowiem popsuł się nam przyrząd do refowania i trzeba go było naprawić. Przy najbliższym przystanku postaliśmy po duże gwoździe i przy pomocy młota i kamienia dh porucznik kuł żelazo póki gorące. Byliśmy tak zajęci pracą i wrażeniami, że nie spostrzegliśmy, że dzień miał się ku końcowi, wolna od służby zmiana ułożyła się na spoczynek i wówczas okazało się, że zmiana licząca 6 osób może się zupełnie dobrze ulokować do snu pod pokładem, a szczegół ten martwił wielu przed odjazdem, mających słabość widocznie do spania. Dzwon bije 10 godz. wieczór — latarnia pali się, odpowiada oko — w lakonicznej formie marynarze kontrolują się wzajemnie — czuwają!...

Trzęsła się piwnica od wybuchów padających opodal granatów. Sypał się ze sklepienia gruz i kurz. Duszno było i straszno w tej ciemnicy jak w grobie.

Rano Jur wyjrzał na dwór. Jakżeż się wszystko zmieniło przez jedną noc!

Z domu została kupa gruzów, i sterczący, jak wyciągnięta z niemą prośbą do nieba dłoń — czarny, okopcony komin.

Pomiędzy potrzaskanemi i odartemi z kory drzewami wiły się w nieznośnych splotach okopy. Przed niemi jak babie lato — druty kolczaste.

Strzelanina ucichła na chwilę.

Młody opiekun poszedł do okopów starać się o jadło dla matki.

Żołnierze przywitali chłopca okrzykiem zdumienia i ładowali mu w kieszenie wszystko, cokolwiek mieli pod ręką. Niektórym z nich przypominał syna, innym brata.

Ten wybuch czułości przerwał huk tak straszliwy, że Jur myślał, iż to niebiosa walą się w gruzy.

— Zmykaj mały, bo cię tu ukatrupią usłyszał za sobą.

Na czworakach dobrnął do piwnicy.

I tak codzień wędrował do okopów po prowiant i nowiny, żołnierze polubili go za odwagę i opiekowali się nim ogromnie.

A on pisał im listy i zastępował, jak mógł i umiał daleką rodzinę.

Przychodzili po niego z największemi troskami i zmartwieniami, nie mieli przed nim tajemnic.

Ale ubywało starych znajomych wciąż — smutno było Jurkowi.

A matka leżała półżywa, w ciągłej malignie.

Jurek przyprowadził za połę płaszcza lekarza wojskowego — księdza do swojej piwnicy.

Ksiądz dał proszki, obiecał odwiedzać chorą częściej, ale.. nazajutrz, gdy niósł ostatnią pociechę rannemu, granat rozerwał go i rozniósł cząstki po przedpolu okopu.

— Jeszcze jeden Nieznany Żołnierz. zaszeptała wiara.

* * *

Pewnej nocy wstrząsnął piwnicą straszliwy huk.

Jurek myślał, że to już będzie koniec. Pani Niegolewska zerwała się z posłania ze strasznym krzykiem i biegała po piwnicy jak szalona.

Jurek był pewny, że jego matka dostała pomieszania zmysłów.

Uspakajał ją, jak umiał.

Wreszcie zmęczona i spłakana zasnęła, oparłszy głowę na kolanach syna.

Jurek obudził się.

— Cóż to za długa noc myślał, że wciąż tak ciemno na dworze.

Wtem włosy stanęły mu dęba.

Zrozumiał — byli zasypani.

Opuścił głowę i szeptał cicho pacierz.

Coraz to duszniej stawało się w piwnicy.,

Jurek czuł, jak głośno bije mu serce i jak wolno, ale stale nabrzmiewają żyły na skroniach i rękach.

Straszna śmierć stanęła mu przed oczyma.

Zginą.

Wtem przypomniał sobie daną ojcu przysięgę.

— Będziesz jej bronił?

— Będę, tatusiu.

— Słowo?

— Harcerskie, tatusiu.

Zacisnął teraz ręce. Znalazł w kącie zardzewiałą łopatkę żołnierską. Połupał nią na drobne drzazgi drzwi i kawałek po kawałku rozbił je zupełnie.

Tak, byli zasypani!

Szybko wziął się do roboty. Odrzucał w głąb piwnicy wydobytą ziemię. Od czasu do czasu natrafiał łopatką na pogięte dziwacznie odłamki. Te składał z całą starannością „na pamiątkę".

Zrzucił kurtkę i pozostał jedynie w koszuli. Coraz to cięższej szła praca, bo i brak powietrza i „niedopatrzona" wczoraj kolacja robiły swoje.

Ale czem więcej czuł się zmęczony, tem silniejszy rósł w nim upór.

— Co, może sobie nie dam rady, może się ugnę? wyrzucał z za ściśniętych zębów.

— Zobaczymy!

I machał dzielnie łopatką. Pot zalewał mu czoło — zrzucił jeszcze ko-

Tym razem są to młodzi żeglarze-harcerze, nie mając wielkiego doświadczenia posiedli odwagę, aby na wątłym stateczku, yachcie 7 m. długości, puścić się da leko za morza aż do odległej Danji. Siedząc przy sterze, rozmyślam, staram się przewidzieć przyszłość, chcę wiedzieć zgóry, czy podołamy zadaniu i czy przypadkiem nie mogłoby się zdarzyć, że pod wpływem kapryśnego losu ulegniemy? Myślą stwarzam sytuacje trudne, aby wyobrazić sobie sposób wyjścia i obronę. Coraz to ciemniej wokoło, pada nieznośny deszcz, mglisto, coraz to słabiej rysują się kontury brzegów.

25 lipca w południe stanęliśmy w Międzychodzie, aby załatwić sprawę celną i paszportową. Wysyłam pierwszą depeszę do Poznania i ukończywszy formalności ruszamy natychmiast w dalszą drogę. Tak nam było pilno przejść przez granicę, aby wprowadzić naszą banderę na obce wody, mieliśmy jednak mało wiatru i posuwaliśmy się powoli z prądem, tak że zaledwie o godz. 2 pp. stanęliśmy na granicy polsko-niemieckiej w Wiesenkrug.

Z paszportami poszło gładko, gorzej z celnikami, którzy chcieli nałożyć na łódź cło, lub otrzymać gwarancję, że ją wywieziemy poza granice Niemiec. Był to pierwszy wypadek w historji, że przechodziła tędy polska łódź sportowa, to też urzędnicy nie wiedzieli dobrze, który § przepisów celnych zastosować względem nas. Wkońcu po dłuższej dyskusji i naradach, jeden z uprzejmych Niemców złożył za nas gwarancję, biorąc tem samem odpowiedzialność na siebie za cło w wysokości 250 mkn. Rewizji specjalnej nie przeprowadzali, drażnił ich tylko nasz radjoodbiornik.

Ranek 27 powitał nas cudownym wschodem słońca. Błogosławiliśmy je też za to, że nas ogrzało, bośmy w nocy solidnie przemarzli. Minęliśmy jeszcze jeden most, za którym spostrzegliśmy zdaleka zarysy Szczecina. Czekaliśmy nań z utęsknieniem, licząc, że odpoczniemy tam trochę i przygotujemy się do następnego etapu — żeglugi morskiej.

Po drodze spotykaliśmy wielkie parowce pasażerskie, towarowe, berlinki żaglowe, wszystkie spieszyły do portu wraz z nami. W porcie czekała nas nowa przeszkoda w postaci 4 zupełnie niskich mostów. O żeglowaniu nie było mowy, musieliśmy użyć naszych wioseł. Dotarliśmy wreszcie na odpowiednie miejsce i zamocowaliśmy Rybitwę. Stanęliśmy na przystani Yachtklubu Germanji, położonej na małej wysepce. Wbrew przewidywaniom postanowiliśmy zabawić krótko, byle załatwić niezbędne zakupy i ruszać dalej.



Na Odrze.

Chłopców na ląd nie wypuściłem wcale, bojąc się, że mogliby ucierpieć od pruskiej hakaty, tem więcej, że byli w mundurkach marynarskich. Sami przebrani po cywilnemu wyszliśmy na miasto.

Już o godz. 7 wiecz. ruszyliśmy dalej, niestety wiatru prawie, że nie było. Posuwaliśmy się z trudem, mając sporo kłopotu w omijaniu spieszących parowców. O północy wiatr ustał zupełnie i musieliśmy zarzucić kotwicę, na szczęście nie na długo, bo już o 3 mogliśmy znów podnieść żagle, tym razem wiatr ożywił się na dobre, tak że wkrótce znaleźliśmy się na zalewie Szczecińskim, który zupełnie robi wrażenie morza.

W taki sposób dopłynęliśmy do Kaiserfahrt, wąskiego pogłębionego kanału, na którym nota bene żaglowcem nie wolno lawirować. Zauważyliśmy jednak, że za nami posuwa się jakiś śliczny yacht, krzyżując, więc nie namyślając się wiele zrobiliśmy to samo, nie jechaliśmy oczywiście zbyt szybko, to też do Swinemünde dotarliśmy zaledwie pod wieczór. Załatwiliśmy natychmiast formalności celne, trwające zresztą bardzo krótko, dzięki swej prostocie powiedziano nam, że możemy sobie jechać dalej. Zajęliśmy się wobec tego pewnemi niezbędnemi przygotowaniami do wyjścia na morze, uzupełniliśmy prowiant i wodę i o godz. 8 byliśmy gotowi do startu. Lecz — chłop strzela Pan Bóg kule nosi! W powietrzu, ani lekkiego powiewu, cisza. Postanowiliśmy jednak wyjść z portu. Wobec tego poszukaliśmy motorówki, która za 2 dolary zgodziła się nas wyprowadzić na morze. Nolens volens, trzeba było przystać, podaliśmy swój hol i ruszyliśmy z zawrotną szybkością: dziób Rybitwy podniesiony wskakiwał lekko na fale wychodzące z pod motorówki, cała załoga skupiona na rufie. Przy takiej jeździe sternik ma ogromnie trudne zadanie, gdyż łódź jest wówczas bardzo czuła na najmniejsze odchylenie steru. Wkrótce znaleźliśmy się na otwartem morzu, puszczamy nasz hol, życząc szczęśliwej drogi. Zostaliśmy sami, mając przed sobą niezmierzone przestrzenie pełnego morza...

Od lądu wiał słaby zefirek i napełniał melancholijnie nasze żagle, z tyłu patrzyła na nas swem jasnem okiem cyklopa latarnia Swinemünde, w towarzystwie świateł portowych i oświetlonego rzęsiście kasyna kąpielowego. Przed nami ciągle kręcą się statki i trzeba pilnie uważać, aby im w porę ustąpić z drogi, bo inaczej jednem uderzeniem swej potężnej śruby rozbiją nas na szczapy. Bierzemy kurs (płn. zach. t. j.) na wyspę Rugję i posuwamy się powoli naprzód. Długo czekaliśmy zanim światła za nami poczęły słabnąć, aby wreszcie zniknąć zupełnie, lecz jeszcze przed wschodem błysnęła nam na chwilę latarnia Greifswalder Oie.

---

szulę. Wreszcie upadł, ale zerwał się i resztkami sił uderzył trzonkiem łopatki w zagłębienie.

Buchnęło na niego światło i strumień powietrza.

Odwalenie reszty ziemi stało się kwestją zaledwie minut.

Jura zdumiało milczenie, panujące dokoła. Wybiegł na powierzchnię ziemi.

Ludzie, jakby wymarli nagle. Był tem zaskoczony i nie wiedział, co ma ze sobą zrobić.

Przywykł do gwaru bitewnego, do strzałów, wrzasków nieludzkich, jęków — a teraz przeraziła go cisza.

Obejrzał się i poczuł, że drętwieje z przerażenia.

Hen, jak okiem sięgnął wyłaniał się z pasa niemieckich okopów wał dymu— opar jakiś, dziwny.

— Gazy!

Biedny chłopiec, zadużo wytrzymywał wrażeń, teraz usiadł na kupie ziemi i założył po desperacku ręce.

— Jurku! — wybiegł z piwnicy głos. Skoczył, jak oparzony.

— Matka, Jezus, Marja, matka! bredził obłąkany przerażeniem.

Biegał chwilę wzrokiem po ziemi, nagle znalazł to, o czem marzył od chwili i za co oddałby życie.

W bruździe po granacie, leża a porzucona puszka o wytłaczanej powierzchni.

Jednym tchem dopadł do niej, rozerwał!

Znalazł w niej skarb — śmieszny skarb — maskę gazową.

Wbiegł do piwnicy.

Zastał siedzącą na połsaniu matkę.

— Matuś, włóż to prędko na głowę tylko mocno i dokładnie. Jest atak gazowy.

— A ty?

— O, ja mam tam na górze całe sterty tych masek, skłamał, uśmiechając się wesoło.

I wybiegł z piwnicy, nie patrząc na matkę.

Biała chmura była już blisko.

Jurek nie czekał, aż raczy do niego przypełznąć.

On wyszedł naprzeciwko.

Kapitan Niegolewski dostał rozkaz oczyszczenia zagazowanego terenu.

Szedł na przedzie fali żołnierzy w gumowych ubraniach i maskach na twarzach.

Przypomniał sobie znajomą okolicę— i uśmiechnął się gorzko.

— Nic nie ma z drogich mi rzeczy. Jedynie sam Bóg wie, gdzie moja żona i Jurek?

Zauważył piwnicę.

— Może została po moim domu jaka pamiątka pomyślał i, świecąc sobie latarką, zszedł w rozkopany dół.

Po chwili znalazł wprost zemdloną, lecz żywą żonę.

Jurka nie było...

Znaleziono go leżącego na przedpolu okopów.

Był uśmiechnięty i jakby promieniał nieziemską radością.

Spełnił swój obowiązek.

Dotrzymał słowa.

Bohater!

Koniec.

Czas płynął równie powoli jak i Rybitwa, to też blisko 2 dni kręcimy się tak koło Rugji, aż dopiero 3-go lipca wiatr się ożywił, tak żesmy mogli rozwinąć znaczną szybkość i o 6 rano byliśmy już na trawersie latarni pływającej Falsterlorev.

Poruszaliśmy się teraz żwawo na płn. i już około południa byliśmy na szerokości Kopenhagi, podziwiając zdaleka jej wspaniałe gmachy i świątynie. Jednakże celem naszym był Helsingör, położony o 50 km. bardziej na płn., gdzie odbywał się międzynarodowy zlot skautów morskich. Wiatr był zmienny i chwilami buntował się nie chcąc nas popychać, więc dopiero o 8 wiecz. 31 lipca stanęliśmy na miejscu. Zebrana w porcie publiczność, patrzyła z podziwem na maleńki yacht, płynący z daleka pod obcą banderą, przybiliśmy zgrabnie do molo i natychmiast zameldowaliśmy się w komendzie. Przyjęto nas bardzo życzliwie, interesując się naszą podróżą, zakomunikowano nam również, że oczekiwał na nas Poseł Rzczpl. Polskiej p. Rozwadowski, lecz niestety nie doczekał się naszego przybycia. Okazało się, że nie byliśmy ostatni, bo brakowało jeszcze kilku reprezentacyj, ogółem na zlocie było około 250 skautów 6 narodowości: Anglicy, Duńczycy, Polacy, Węgrzy, Niemcy, Belgijczycy. Następnego dnia odbyła się konferencja kierowników, na której podano właściwy cel zawodów, jako próbę sił i pokaz pracy skautów poszczególnych narodowości. Zastrzegano się przed wyróżnianiem jednej narodowości ponad inne, nie chcąc stwarzać fałszywej rywalizacji, prowadzącej do dysharmonji. Było to zupełnie słuszne i właściwe stanowisko więc też wszyscy zgodziliśmy się na to. Każdy dzień był przeznaczony na inne zawody, a dla urozmaicenia były w programie wycieczki i spacery.

LUDWIK HERMEL.
Kier. Wydz. Morsk.

Z CYKLU: „OLIMPIJCZYK".

PIĘŚCIARZ.

Panu Wiktorowi Junosza-Dąbrowskiemu poświęcam.

Nie zakuty w żelazo, z odsłonioną skronią,
toczyłem, z zmiennem szczęściem, niezliczone [boje —
aż do stóp swych rzuciłem przeciwników roje
i wydarłam im laury niezbrojoną dłonią...

*

Bo mi Wola potężną była w walce bronią,
a Hart Ducha mi służył za pancerną zbroję —
i walczyłem, jak greccy, w Iliadzie, heroje —
jak rycerze pancerni, co na ostre gonią...

*

Więc mi się dzisiaj sława ściele popod stopy
i w ślady moje szereg mych następców chodzi,
i wkrótce miljon młodzi pójdzie w moje tropy...

*

...I pośród gradu zwycięstw, czy wśród klęsk [powodzi
wciąż zbierać będą liczne bezcennych żniw [snopy,
bowiem z mocy ich ciała moc ducha się zrodzi
I tylko w ten się sposób mój Naród odrodzi!

M. E. KAZIMIEROWICZ.



Kap. „Rybitwy" Dh. Hermel i por. Michalski.

W CIEMNYM BORZE

Słońce chyliło się ku zachodowi. Jeszcze wyzierało połową swej tarczy zza sinych wierchów beskidzkich i rozrzucało złote promienie po ugorach, łąkach i moczarach, po chatach wiejskich krytych słomą, po ogrodach i sadach rozłożystych, jakoteż po wierchach smereków, wysokich, może stuletnich jedlin, buków, topoli i jałowców, a nawet gdzieś po rosnącej nad górskim potokiem wiklinie, zanurzało swe ciepłe promienie w wodach stawów, to odbijało się od skał okalających, wyścielających dna potoków...

Malownicze, pełne krasy krajobrazy beskidzkie tonęły w promieniach zachodzącego słońca.

Słońce zaś powoli skryło się za grzbiety Beskidu. W tej chwili rozpłynęła się po niebie zachodniem purpurowa zorza.

Jakże śliczna!

Lecz nie długo jej panowania i nie długo zachwytu dla śmiertelnika, odczuwającego piękno natury! Zwinęła swe skrzydła i odleciała. Znikła gdzieś za górami...

Powoli zapadał mrok. Idąc od dolin w górę, aż ku szczytom Beskidów, zalał całą ziemię. Na sklepieniu niebios, boska ręka zapaliła tysiące świateł większych i mniejszych — to gwiazdy, a między temi idąc powoli posuwał się księżyc złoty. Mleczna droga zarysowała się białą wstęgą na niebios sklepieniu.

Las...

Idąc ścieżką krętą, dosyć oświeconą przez promienie księżyca, wchłanialiśmy w siebie czyste górskie powietrze, przesiąknięte conieco zapachem żywicy.

Wreszcie zeszliśmy ze ścieżki, a wyszukawszy odpowiednie miejsce zaciszne, rozpaliliśmy ognisko.

Liczna „wiara" zasiadłszy w koło płonących drzew i chrustu, poczęła gwarzyć wesoło.

Każdy z kolei zabierać musiał głos...

Przyszła więc i kolej na pewnego druha, który lubiał milczeć i zawsze marzył o czemś, co zapewne nikomu nie przychodziło do głowy nawet.

I teraz zapewne marzył, bo głowę podparłszy ręką wpatrywał się w płomień a od czasu do czasu tylko przebiegł wzrokiem po siedzących w koło ogniska druhach i znowu powracał do swego dawnego miejsca...

O czem myślał, nad czem rozważał, to dla wszystkich było tajemnicą. Więc też bardzo często mylono się i posądzano go, gdy nie mówił, o brak odwagi czy też o egoizm.

A zastępowy często powiadał: Jest też z ciebie, Romek, egoista! wszystko dla siebie, a nam to byś nic nie chciał powiedzieć!!!

Gdy mu teraz zwrócono uwagę, że ma mówić o czemkolwiek chce, jakgdyby przebudził się ze snu, lecz zamiast, jak zwykle, milczeć, o dziwo! o cudzie!, począł mówić.

O czem?... Gwarzył o ziemi beskidzkiej, o ludziach z Beskidu, ich zwyczajach, ich doli i niedoli, a wszystko to tak cudnie przedstawił z taką znajomością rzeczy, że zdumieli się wszyscy, że żyjąc między tymi ludźmi i otoczeni dokoła tą przyrodą przepiękną Beskidu, nigdy się nad tem nie zastanawiali szerzej...

Romek zaś mówił długo, począwszy od rzeczy wesołych, a skończywszy na smutnych, aż umilkł.

Wszyscy milczeli...

A płomień ogniska strzelał wysoko w górę i oswiecał ciemny, prastary las.

Blade promienie księżyca przeświecały przez szpilki smereków, a w głębi lasu od czasu do czasu migały niby błędne ogniki, robaczki świętojańskie.

Cisza była przerywana czasem przez spadające szyszki, czasem przez odzywanie się puhacza, a wtedy rozlegało się po lesie, roznoszone przez echo, krótkie, urywane:

Pu-hu!!... Pu-hu!!...

A bór stary kończył gawędę Romka.

Oni zaś słuchali, bo rozumieli jego mowę i jego modlitwę, którą tylko pióro Sienkiewicza zdolne było prawdziwie i w całym swym majestacie przedstawić...

Ognisko już dogasało i tylko węgle żarzyły się jeszcze, a te stuletnie drzewa, porośnięte od stóp do głów grzybami i mchem, a zielone całe od glonów, coś gwarzyły jeszcze powoli cichnąc...

— — — — — — —

Aż księżyc zeszedł z niebios kopuły i gwiazdy poczęły blednąć i życie lasu budziło się zwolna...

Żywiec, październik 1927.

KU SŁOŃCU

(W obronie „samotników").

Nieraz w samotnych swych wędrówkach, spotkałem nieharcerzy i harcerzy, którzy dziwili się mej samotnej włóczędze.

Cóż to za przyjemność — mówili — chodzić tak samemu? Co innego gromadnie; wtedy i wesoło i przyjemnie i czas szybciej leci.

Nie mogą tego zrozumieć ci, którzy nigdy sami nie byli na łonie przyrody, a jeśli się znaleźli przypadkiem sami, to stali bezradni i zatrwożeni jej ogromem i potęgą.

Lecz ten, kto czyste ma sumienie i jasną pogodną ma duszę, nie trwoży się i nie lęka. Nie szuka towarzystwa ludzi, aby mu wnieśli w duszę rozdźwięk, dysonans.

Bo czyż nie lepiej samemu zachwycać się i podziwiać piękno przyrody, jej czar niewysłowiony, jej potęgę i majestat i czerpać zeń, jak z życiodajnej krynicy, pogodę ducha i siłę na dalsze życie? Czyż nie stokroć przyjemniej,

niż z całą gromadą, samemu stanąć na wyniosłym szczycie, pełną piersią odetchnąć po znojnym trudzie i podumać chwilę w tej wielkiej ciszy i spokoju? I lepiej tu czuć się marną kruszyną, wobec tej potęgi i ogromu, niż tam na nizinach, w gwarze szarego życia, panem stworzenia. Z jakąż rozkoszą można wtedy wyciągnąć ramiona i słać hymn uwielbienia hen ku górze... Czyż nie lepiej być samemu wśród pól rozległych, łanów zbożem złocistych i wsłuchać się w ich szepty tajemne, które wszelki ból ukoją, burze w piersi uciszą, a wleją spokój błogi. Czyż nie lepiej samemu wsłuchać się w szept tajemniczy boru, wsłuchać się w poszum drzew i cichy szelest liści...

Czyż nie lepiej znaleźć się samemu, wśród bezkresnych, zda się, pól śnieżnych i widzieć przed sobą tylko białą, śnieżną przestrzeń, jak kartę nie zapisaną, a za sobą tylko szlak swych własnych śladów. — W chwilach takich, wiele można odgadnąć i wiele zrozumieć tajemnic... Czuje się w owych chwilach urok i piękno takich samotnych wycieczek.

Kilka lat temu, będąc z wycieczką w Karpatach, spotkałem po raz pierwszy, takiego harcerza-włóczęgę, — samotnika.

A gdy mi zaczął snuć opowieść swej wędrówki, swych noclegów na szczytach, lub w górach zacisznych, swych



„Rybitwa" na starcie przed wyruszeniem z Poznania.

przepraw przez potoki grzmiące, uczułem jakieś dziwne uczucie w swej młodej piersi i — zazdrość.

Zazdrościłem mu tego szczęścia, tej pogody ducha, tych lic ogorzałych od słońca i wiatrów halnych, tego blasku lśniących i radosnych oczu szarych. Zrozumiałem w mej piersi od tej chwili, jakieś nowe uczucie, chęć niezmożoną ku takim wędrówkom samotnym, ku prawdzie — szczęściu — ku słońcu!...

Wędrowny żóraw.

Lepiej być pierwszorzędnym stolarzem, niż drugorzędnym mówcą.

Dr. Johnson.

* * *

Więcej się troszczmy o to, czem być chcemy, niż o to co i jak mamy robić.

Dr. Johnson.

* * *

Człowiek myślący umie wyciągać korzyści ze zdarzeń najpospolitszych, a te nawet mogą mu stać się sposobnością, która całemu jego życiu i dążeniu nadaje wyższy polot, albo też stanowczy kierunek.

Platon.

* * *

Niema lepszych środków do urzeczywistnienia celów obywatelskiego lub powszechnego życia, jak znaczna ilość zwyczajnych, zdrowych rozsądków pod przewodnictwem uczciwości.

Schiller.

R. ADAMOWICZÓWNA.

DLA ZASTĘPOWYCH

Czy nie zdaje Wam się nieraz, że wszystko, co się mówi o prowadzeniu pracy w zastępie, że wszystkie dawane w książkach, czy pismach wskazówki są tylko teorją? Z pewnością tak nieraz myślicie, ale bo też te wskazówki i metody są ogólne, a metodę ściśle do waszego zastępu i waszej pracy zastosowaną sami sobie musicie wyrobić. Do tego jednak posiadać trzeba wiedzę, która dopiero, łącznie z doświadczeniem, da wam najlepsze sposoby prowadzenia roboty. A jaką wiedzę? Techniczną i wychowawczą (o tem się często zapomina a jednak, bracie zastępowy, nie obejdziesz się bez tego, jeśli naprawdę chcesz coś z twej gromady zrobić). Techniczną zdobywacie przedewszystkiem w obozach, na kursach, warsztatach, przez opanowywanie sprawności. Pamiętajcie tylko jedno: musicie wciąż w tem iść naprzód, bo szczególnie do techniki stosuje się zasada, że kto nie postępuje, ten się cofa. Książki t. zw. „specjalne", podręczniki anatomji, higjeny, pielęgniarstwa, przyrody topografji, musztry, gier — wszystko to się przydaje, oczywiście tylko w połączeniu z praktyką. Jeśli chodzi o wychowanie, to jakkolwiek tu przedewszystkiem potrzbny jest... olej w głowie i odpowiednia wielkość „pompy ssąco-tłoczącej organizmu", wiedza pewna jest wielce użyteczna. I nietylko to, co mówi się o tem w „Harcach młodzieży", w „Systemie zastępowym", w złotej „Szkole Harcerza", gdzie z konieczności macie podaną samą esencję, ale i to, co w specjalnych macie książkach, obszerniej tę rzecz ujmujących, a jednak nie tak trudnych i dostępnych dla wszystkich starszych zastępowych. Czy znacie: „Charakter i wychowanie" „Wychowanie narodowe" L. Zarzeckiego, „Do podstaw wychowania narodowgo" St. Ligonia?

A jeśliście nie czytali „Gawęd z drużynowym" Dha H. Glassa, zróbcie to jak najprędzej, a w robocie i trudnościach ocenicie dopiero, ile są warte wogóle, i dla kierowania zastępem w szczególe, choć zasadniczo przeznaczone dla instruktorów. Jeżeli chodzi o zrozumienie zasad psychologji, to podręcznik seminarjów nauczycielskich Titchenera (w przekładzie Znamierowskiego), ogromnie jest pożyteczny. Nie wzdychaj tedy, bracie zastępowy, zagwiżdż raczej (na swoją niewiedzę) i bierz się do roboty, a doczekasz się pociechy z gromady swojej i wspomnisz słowa imć Pana Reja: „ano wszystko miłe, wszystko się śmieje, wszystkiego dosyć, jedno trzeba tego dojrzeć, aby to wszystko było porządnie opatrzone..."

„Wszystkie drogi wiodą do Rzymu" mówi przysłowie, ale do prawdziwych rezultatów wychowania w zastępie tylko jedna: poznanie dokładne życia i warunków naszych chłopców, czy dziewcząt. Już po jakim roku pracy musi zastępowy móc odpowiedzieć sobie, jaki jest charakter każdego z jego harcerzy, jakie są wpływy domu, szkoły poszczególnych członków otoczenia, jakie są zdolności, zamiłowania i dążenia każdej Wilgi, czy Kruka, bo tylko wtedy potrafi iść najkrótszą drogą do celu i nie pobłądzi. Poznanie takie bardzo jest trudne i wielu starań wymaga, ale musimy się starać osiągnąć je jak najprędzej, bo przecie wiekami zastępu nie prowadzimy i musimy mieć czas na zastosowanie zdobytych wiadomości. Z góry trzeba być jednak na to przygotowanym, że nie poznamy naszych zastępów bez ścisłej z niemi łączności. Zastęp „to jest taki rów, że jak wpadniesz — to bądź zdrów"!

Musisz się temu oddać całkowicie, mieć czas i głowę dla twoich chłopaków i dziewcząt. Musisz brać udział w ich życiu, wiedzieć o ich radościach i troskach, pomagać w czem tylko możesz i to nie jakoś abstrakcyjnie, ale zupełnie praktycznie. Jednemu pomożesz w odrabianiu lekcyj, innemu w jakiejś robocie w domu, dla niedożywiającego się „wyżaśniesz" drugie śniadanie, czy mleko, za które może odpłacicie pracą zastępu, lub coś podobngo, ale nadewszystko musisz być gotów na wysłuchanie wszystkiego, co ci każdy z twoich będzie chciał powiedzieć (a to, zwłaszcza w młodszych zastępach ani łatwe, ani zawsze przyjemne nie jest — wiele nieraz cierpliwości wymaga), na udzielenie rady, czy rozstrzygnięcie wątpliwości. Jeśli się z tem wciąż do ciebie zwracać będą, nieraz się poczujesz zmęczony, ale to będzie najlepszym dowodem, że pamiętasz dobrze swe zadanie. Pamiętaj więc ze przez łączność do poznania, przez poznanie do prawdziwego wychowania.

Czuwaj!





Co słychać w Z.H.P.



PABJANICE

W dniach 24 i 25 września drużyna im. pułk. J. Kilińskiego i dr-na im. ks. Józefa uroczyście święciły dziesiątą rocznicę swego istnienia.

W sobotę 24.X) urządzona została zabawa taneczna w Sali Gimnastycznej. Na zabawie byli obecni: dh kapelan i dh opiekun dr-ny im. płk. J. Kilińskiego i w. innych gości.

Uroczystość odbyła się w niedzielę (25:X). O godz. 7.30 rano, z wieży kościoła N. M. P. została odegrana pobudka. O godz. 8 na boisku P. T. C. nastąpiła zbiórka drużyn, gości i sympatyków harcerstwa. Po złożeniu raportu przez dha Z. Kłysa członka K. H., dhowi Pietrzakowi, komendantowi Chorągwi Ł., drużyny pomaszerowały do kaplicy św. Florjana. Uroczyste nabożeństwo odprawił ks kapelan Ostrowski, poczem wygłosił okolicznościowe kazanie.— Po nabożeństwie nastąpił przemarsz drużyn na boisko G. T. C., gdzie nastąpiło odczytanie rozkazu 10-lecia przyrzeczenie, przemówienia dha Pietrzaka i Lorentowicza Z., wręczenie odznak 10-lecia. Uroczystość zakończono odśpiewaniem „Roty" i defiladą.

Po południu w sali szkoły Nr. 5 odbyła się herbatka dla członków drużyn i zaproszonych gości z których należy wymienić dhnę hufcową Broniecką, dyr. Sem. M. p. Fiedorowicza, ks. kapelana Warołła, opiekuna dha Adaszewskiego, b. kom. Chorągwi, dha Olbromskiego, dha Lorentowicza, b dr-owego dr-ny im. pułk. J. Kilińskiego i dha Stępnia hufcowego. Na herbatce byli także obecni dawni członkowie drużyny.

W uroczystości 10-lecia wzięło udział 4-ech b. drużynowych dr-ny im. płk. Kilińskiego.

Z GŁOWNEJ KWATERY ŻEŃSKIEJ

Celem ożywienia pracy oraz nawiązania kontaktu z Komendami Chorągwi G. K. Ż. — prowadzi energiczną akcję wizytacyjną.

dr. Dydyńska i Wołowska odwiedziły Gdańsk, dr. Zwolakowska Wołyń, dr. Babiańska — Wilno — i jeszcze raz dr. Dydyńska Sosnowiec.

Centralna Komisja Zlotowa — odbyła już dwa zebrania, podzielono pracę — i poszczególne Komisje zabierają się energicznie do zreorganizowania swoich oddziałów.

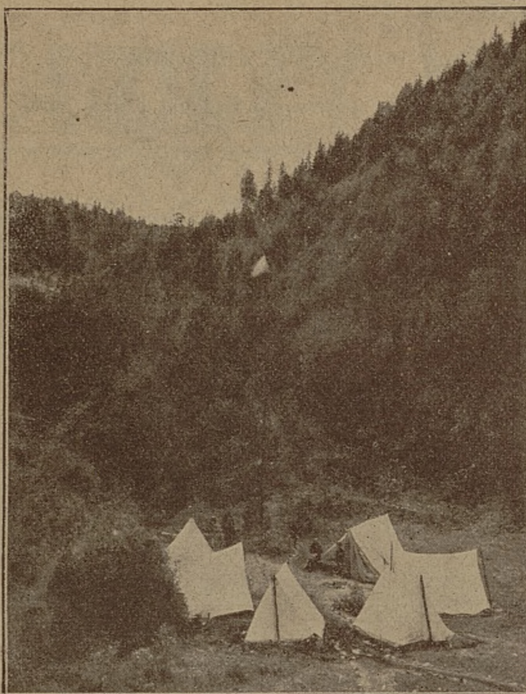
Z *Chorągwi Mazowieckiej* 1-go listopada odbyła się w Warszawie odprawa drużynowych— obesłana b. licznie (druhen — 80 druhów 100), zakończona wieczornicą w salach Kasyna Garnizonowego DOK. I. W wieczornicy wzięli również udział członkowie Rady Naczelnej — nastrój był niezwykle miły i ożywiony.

NOWINY

OLKUSZ

W gimnazjum męskiem odbyło się zebranie Koła Przyjaciół Harcerstwa. Uchwalono, by K. P. było jedno dla wszystkich miejscowych drużyn, oraz każdej drużynie wyznaczono stałego poiekuna.

Harcerstwo w Olkuszu rozwija się dość pomyślnie.



Obóz 9 Lwowskiej im. H. Jordana Lewuszczyk 1927 r.

NIWKA

16.10.8 r. odbyło się zebranie K. P. Referat Na program złożyły się śpiewy, przemówienia oraz balet.

Wysoki poziom artystyczny młodych tancerek świadczy o dużej pracy nad sobą.

SOSNOWIEC

16.10.8 r. odbyło się zebranie K. PP. Referat dha Bujakowskiego Kom. Chor oraz sprawozdania: kasowe i z działalności harcerstwa złożyły się na całość.

RADOM

Harcerstwo rozwija się b. pomyślnie. Społeczeństwo widzi w niem drogę do normalnego wychowania młodzieży. Hufiec radomski liczy 7 drużyn.

Latem odbył się w Pytowicach obóz dla zastępowych.

JASTRZĘBIE pow. Brodnicki

16.10. 6 D. Harc. z Brodnicy urządziła przedstawienie amatorskie p. t. „Bolszewicy".

Sukces przedstawienia niebywały.

Na wyróżnienie z pośród „aktorów" zasługują dwaj bracia Bilińscy.

Po przedstawieniu odbyła się zabawa taneczna trwająca do 3-ej w nocy.

KIELCE

Na terenie Komendy Chorągwi Kieleckiej zorganizowano w ubiegłem lecie dwa obozy (czyżby tylko dwa? p. red.)

Pierwszy z Komendy Chorągwi, zgromadził 64 uczestników z 6-u środowisk.

Obóz prowadził dh. przod. Zieliński. 52 harcerzy skończyło obóz z wynikiem pomyślnym.

Drugi obóz zorganizowała 8-a Kielecka D. H. pod troskliwem okiem ks. D-ra Techorowicza, a komendą dha przod. Swagrzaka.

Obóz trwał 30 dni przy 30 uczestnikach.

PABJANICE

Dh. Kneblewski k. s., dobry przyjaciel i znajomy „Harcerza" znów przysyła nam wiadomości ze swego środowiska.

ŻYWIEC

Praca żywo postępuje naprzód. W drużynie powstał zastęp instruktorski — t. zw. „cyklopy" (brawo! p. red.) jest i orkiestra, rzecz niezmiernie rzadka w Rzeczypospolitej Harc. Odmalowano również izbę, której ściany błagały czarnemi plamami o odnowienie.

Bywają czasami „nawet" wieczorki (dlaczego „nawet" p. red.)

WARSZAWA

10. W. M. D. H. Dh. Gogut przysyła kilka słów.

23.X. odbyła się w d-nie uroczysta zbiórka oraz przyrzeczenia 8-u chłopców.

Na program złożyły się:
przemówienie drużynowego, przyrzeczenie, wspólna fotografja śpiewy, oraz muzyka (przy drużynie tworzy się zespół muzyczny).

Pięknie przemówił do zebranych harcerzy dh. Sosnowski Witold, i były drużynowy dh. Podoski Jan.

Z „KROKODYLKA" 2-ej W. D. H.

MOWIŁY JASKÓŁKI — ŻE NIEDOBRE SĄ SPÓŁKI...

AUTENTYCZNE

Do jednego ze starszych druhów zgłosiły się raz dwa młode krokodylki.

— Pomóż nam! — mamy takie trudne ćwiczenie z polskiego! — błagali, rozpaczając.

— Dobrze, siadajmy i piszmy!

Po godzinie wspólnej pracy wypracowanie było gotowe, temat ślicznie ujęty, słowem, piątka murowana!

Uszczęśliwione krokodylki wyszły od starszego przyjaciela i nagle zaczęły zastanawiać się nad taką sprawą:

— No dobrze — rzekł jeden — ale co my zrobimy z tem ćwiczeniem! przecież, jak obaj go przepiszemy dosłownie, to profesor pozna i co będzie?

— Wiesz co — radzi drugi (nomina sunt odiosa) — zróbmy tak: ja przepiszę żywcem pierwszą połowę ćwiczenia, a resztę sam wykombinuję, a ty zrób odwrotnie — sam zacznij, a drugą połowę przepisz dosłownie.

Nie było innego wyjścia, co uradzili— to i wykonali skrupulatnie.

*

Po tygodniu......

Profesor w klasie rozdaje zeszyty i zwracając się do jednego z naszych przyjaciół mówi:

— Zawsze ci mówiłem, żeś leń patentowany! Zacząłeś ćwiczenie bardzo dobrze, ale od połowy nie starczyło ci wytrwałości i skończyłeś okropnie!

W zeszycie stała dwója na pół strony!

— A ty — zwrócił się pan profesor do drugiego — masz także niedostatecznie, choć widać u ciebie zdolności literackie. Z początku Ci się nie chciało myśleć, ale potem nabrałeś rozmachu i skończyłeś doskonale.

Trzeba było przysiedzieć fałdów i opracował jeszcze początek.—

Krokodylki spojrzały na siebie znacząco, a na drugi raz poszły każdy z osobna, prosząc o pomoc w ćwiczeniu!

Opowiedział ALIGATOR

(też rodzaj krokodyla).

TO I OWO.

GROBOWIEC DŻINGIS - CHANA ODNALEZIONY W PUSTYNI GOBI

Podawaliśmy już pokrótce wiadomość o odnalezieniu grobowca wodza hord tatarskich.

Prasa londyńska donosi. że znany uczony rosyjski prof. Kozłow, który dużą część swego życia poświęcił sprawie zbadania Azji środkowej po dwudziestu latach poszukiwań odkrył nareszcie grobowiec Dżingis Chana, wodza hord tatarskich, które siały postrach przez długie lata w Europie wschodniej na przełom e 12 i 13 stulecia.

Grobowiec ten znajduje się w pustyni Gobi w pobliżu ruin wielkiego niegdyś, dzisiaj zaś martwego miasta Charachoto. Szczątki zwłok tatarskiego wodza spoczywają w trumnie z kutego srebra, dźwiganej przez 78 koron monarchów czy książąt, których Dżingis Chan swego czasu zwyciężył.

Skarby, nagromadzone w grobowcu, dałoby się porównać jedynie z tem, co nagromadzono w mogile Tutankhamena. Są tam przeróżne gatunki broni, bogato zdobionej klejnotami, są dzieje panowania Dżingis Chana, posągi naturalnej wielkości lwa tygrysa. konia z czerwonego kamienia. Jest wreszcie zdobyczny egzemplarz biblji, pisany całkowicie ręką mnicha angielskiego w trzynastym wieku.

Niedaleko tego grobowca znajduje się też mogiła żony Dżingis Chana. Widnieje na niej taki napis: „Tu spoczywa królowa Dolma, która uprosiła wielkiego władcę, by ją zabił, zanim sam zniknie na zawsze".

Ulegając błaganiom żony. wódz tatarski i władca potężnego państwa zatopił sztylet w jej piersi; to też Dolma umarła w objęciach męża na siedem dni przed jego zgonem.

BOA DUSICIEL W PARYSKIEJ KOLEJCE PODZIEMNEJ.

„Le Journal" donosi o niezwykłym wypadku, jaki zdarzył się ostatnio w Paryżu.

Olbrzymi wąż - constrictor, znudzony więzienną egzystencją. na jaką skazywał go właściciel wędrownej menażerji w Issy, wyślizgnął się z klatki niespostrzeżony przez nikogo, i korzystając z mroków jesiennego popołudnia, popełznął do Paryża.

Wąż był chytry jak wąż. świadczy o tem fakt, że trafił na stację kolejki podziemnej, gdzie spotkał wytworną damę z pieskiem — dama na widok straszliwego węża, który już się zabierał do skonsumowania maleńkiego czworonoga — jęła krzyczeć tak przeraźliwie, że przestraszony boa coprędzej ześlizgnął się po schodach wiodących do podziemnej kolejki.

Byłby zapewne szczęśliwie dotarł do wagonu — gdyby nie los zawistny, który pod postacią grubego rentjera, wracającego na obiad do domu — zagrodził mu drogę. Zaalarmowana służba kolejki, oraz pasażerowie wspólnemi siłami ujarzmili gada, który został odesłany do prawego właściciela opłakującego stratę ulubieńca.

BADANIA NAUKOWE UCZONEGO POLSKIEGO W MONGOLJI.

Wychodzący w Charbinie „Tygodnik Polski" donosi, że „Towarzystwo badania Mandżurji" (Manchuria Research Society), otrzymało obszerne sprawozdanie od ekspedycji naukowej, która pod kierownictwem polskiego inżyniera Grochowskiego udała się w celu dokonania badań naukowych w głąb Mongolji. Rezultaty osiągnięte przez ekspedycję tę są bardzo pomyślne, a to zarówno pod względem naukowym, jak i praktycznym. Ekspedycja odkryła i zbadała olbrzymie złoża soli sody i glauberytu. W północno - wschodniej części pustyni Gobi odkryto t. zw. frozen ground, t. j. wiecznie zamarznięty grunt, na głębokości 2.35 metra.

Ekspedycja inżyniera Grochowskiego miała do zwalczania wielkie trudności. powodowane głównie brakiem wody. W okolicach słonego jeziora „Szachejte Nor", ekspedycja przez dwa dni była bez wody do picia, gdyż studnia wykopana w pokładzie wodonośnym, który uczestnikom ekspedycji udało się po żmudnych poszukiwaniach odszukać, zawierała tyle siarkowodoru, że nawet wielbłądy jej pić nie chciały. Na szczęście ekspedycja spotkała grupę myśliwych Sołonów którzy inżynierowi Grochowskiemu odstąpili kilka skórzanych worków ze słodką wodą.

Ekspedycja zbadała ogółem 6 grup jezior, zawierających rozmaite pożyteczne minerały. Inżynier Grochowski przywiezie do Charbinu 230 rozmaitych próbek, które zbadane zostaną w miejscowem muzeum, a następnie celem dokładniejszego zbadania przesłane zostaną do Berlina.

Oprócz tego w okolicach „Baga Szaga Nor" znaleziono ślady człowieka przedhistorycznego, jednakowoż z powodu braku żywności, ekspedycja nie mogła przystąpić do dokładniejszych poszukiwań. Inżynier Grochowski zamierza wobec tego udać się w te strony raz jeszcze w roku przyszłym i przeprowadzić tu dokładne poszukiwania.

JAK PRACUJE ZECER CHIŃSKI.

Amerykański profesor i badacz języka chińskiego Duglas opisuje niezmiernie ciekawe szczegóły dotyczące tego jedynego języka na świecie. który posiada nie mniej jak 11.000 liter.

Wypływa to z tego, że właściwie wyrazy w języku tym nie składają się z liter, lecz każde słowo posiada swój własny znak pisarski. Znaczenie wyrazu zmienia się również odpowiednio do miejsca. na jakiem figuruje ono w całkowitem zdaniu, jedno i to samo słowo wyraża również różne pojęcia zależnie od sposobu wymowy, akcentu, intonacji i t. p.

Na zasadzie powyższego możemy sobie wyobrazić jak wygląda chińska drukarnia, w której zecer ma do czynienia z tak kolosalną masą liter. Jest ona obstawiona olbrzymiemi szafami rozmieszczonemi również na otaczającej drukarnię galerji. Litery, rzecz zrozumiała, nie mogą być ułożone w porządku alfabetycznym, lecz segregowane są na grupy z pokrewnemi i pochodnemi od siebie pojęciami. A więc np. ryba, łódka, morze, żagiel. rybak i t. p. znajduje się w pobliskich od siebie sztachetach.

Mimo to jednak praca składacza gazety chińskiej wymaga nietylko szalonej orjentacji, ale jest ona bardzo ciężka z czysto fizycznego względu. Zecer musi biegać od szafy do szafy, wspinać się na drabinki i schodki w poszukiwaniu jednej litery. Dziwić się doprawdy należy, jak w podobnych warunkach mogą wychodzić codziennie gazety perjodycznie i bez opóźnienia.

Mimo postępu nowoczesnej kultury i rozkwitu prasy, zecernia chińska pozostaje wciąż taka sama, jak przed wiekami, kiedy poraz pierwszy pojawiła się w Chinach gazeta.

C. K. D. H. na zlocie Chorągwi Śląskiej.



— Powiedz mi Antek, z którego miejsca na Wawelu Kazimierz Wielki widział najlepiej kopiec Kościuszki?

— Hm... pewno z krużganków...

— Jakiś ty niemądry, przecież jak Kazimierz Wielki żył, to się jeszcze nikomu o kopcu Kościuszki nie śniło!...

RACJA.

— A starsza córeczka pani czem się zajmuje.

— Zosia jest boną.

— Boną! Pfe!... Nie mogła też Pani na co innego wykierować dziewczynki? Zawsze to córka urzędnika mogłaby być czemś lepszem.

— A cóż to złego, moja pani? Przecież nawet jedna królowa polska także była Boną...

—o—o—o—

Pewien młodzieniec wyuczył się doskonale naśladować ryk osła.

Raz siostra jego znajdowała się w licznem towarzystwie, które siedziało w salonie, zabawiając się rozmową. Tymczasem na dziedzińcu zaryczał rzeczywisty osioł.

— Słuchajcie państwo — odezwało się dziewczę — to mój brat nadchodzi.

W SZKOLE.

Nauczyciel — Garbaciński czemu twój brat dziś nie przyszedł do szkoły?

Uczeń — Bo proszę pana psora nie mógł.

Nauczyciel — Czy mu czegoś brak?

Uczeń — Tak jest spodni.

Najlepiej jest żyć do samej śmierci, a potem nie umierać.

*

Co za różnica jest między tenorem a barytonem? Baryton mówi akurat tak mądrze, jak tenor, tylko o jedną oktawę niżej.

PRENUMERATA WYNOSI: Rocznie — 20 zł., półrocznie — 10 zł., kwartalnie — 5 zł, miesięcznie — 2 zł. (wraz z przesyłką). Prenumeratę wpłacać należy na konto P. K. O. Nr. 10.020 albo przekazem pocztowym do administracji „HARCERZA" w Warszawie, ul. Traugutta Nr 2. Redakcja Al. Ujazdowskie 37 m. 12. Sekretarjat Redakcji urzęduje w poniedziałki i środy od g 13 do 14.30 i w piątki od 17 do 18.

CENY OGŁOSZEŃ: Cała strona — 200 zł., ½ strony — 100 zł., ¼ strony — 50 zł., 1/8 strony — 30 zł.

WYDAWCA: *Naczelnictwo Związku Harcerstwa Polskiego.*

KLISZE WYKONANO W ZAKŁADACH „BLUSZCZU" KRAK. PRZEDM. 99.

REDAKTOR: *T. Uhma*

DRUK. M. S. WOJSK.